MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Adres Redakcji „Myśli Narodowej": Zgoda 5, I piętro; tel. 25-11. Godziny przyjęć codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt. Adres Administracji: Zgoda 5; tel. 26-58.

Rękopisów redakcja nie zwraca.

Rok III. Warszawa, 21 Kwietnia 1923 r. Nr. 16.



Cena numeru 700 mk.

EX-SERENISSIMUS.

Tak brzmiała stała rubryka w humorystycznem piśmie monachijskiem: „Simplicissimus" Pod tym tytułem wykpiwano niemieckie suwerenne książątka, zwane tuzinowymi monarchami: Duodecfürsten.

Zdaje się, że w Polsce pisma niehumorystyczne będą musiały zaprowadzić tę stałą rubrykę, aby zwracać uwagę na ryzykowne gesta naszego szefa sztabu generalnego.

A cieszyliśmy się, że skoro ustąpi z Naczelnikostwa Państwa, będziemy mogli zwrócić całą uwagę na „stabilizowanie" Polski, zaprzepaszczanej przez genjusza z krakowskich Oleandrów i że naprawiając jego błędy, będziemy mogli po chrześcijańsku zapomnieć o osobie głównego szkodnika i sprawcy dzisiejszych nieporządków.

Dlatego lekceważeniem zbyliśmy jego fałszywe ekspektoracje w „Kurjerze Polskim". Nie chcemy się pastwić nad człowiekiem potrzebującym raczej wypoczynku i opieki nie

sławy. Pominęliśmy milczeniem jego sławetne „wątpliwości“, które z Belwederu zaniósł na plac Saski gdzie też zaczął rozważać uprawnienia szefa sztabu. Mimo, że znowuż groził ustąpieniem, jeżeli mu nie rozszerzą atrybucji, milczeliśmy, a tylko jedno pismo humorystyczne zapowiedziało blizkie pojawienie się książki p. t. „Trzymajcie mnie, bo zrezygnuję. Napisał Józef Piłsudski“.

Już więcej niepokojąco z punktu widzenia praworządności wyglądała zapowiedź, że p. Piłsudski, ustępując z Belwederu, zrzuca mundur pierwszego Marszałka Polski,a wkłada z powrotem „szarą bluzę strzelecką.“ Manja przebierania się i przymierzania różnych kostjumów jest nieszkodliwa. Humorystycznem zaś jest przekonanie, że zmiana kroju czyichś pantalonów oznaczać będzie punkty zwrotne w dziejach państwa, że historycy notować będą wypadki w ten sposób: Działo się to, kiedy p. Piłsudski nosił spodnie sine z lampasami jeneralskimi, tamto zaś stało się w epoce, kiedy używał czarnych niewypowiedzianości z czerwonym sznurkiem (lub bez) wedle wzoru c. k. landwerzysty austrjackiego. Byłyby te śmiesznostki bardzo zdrowe, a w dzisiejszych czasach smutnych, kiedy o zdrowy śmiech tak trudno, nawet bardzo pożądane. Tak jak na temat teściowej nawet najbardziej drewniana głowa potrafi powiedzieć coś dowcipnego, tak samo i ubranie odnóży bohaterskich mogłoby wszystkim dostarczyć łatwego przedmiotu do żartów i śmiechu.

Ale kiedy się piastuje pewną, choćby wysoką, godność w wojsku, powinno się stosować do przepisów. Wojsko bowiem nie znosi fantazyjek i upodobań osobistych, a tam gdzie one bezkarnie się wkradają, rozprzęga się. Szef sztabu ostentacyjnie natrząsający się z przepisów o umundurowaniu, nie może wpływać przykładnie na utrwalenie dyscypliny w młodej armji. Życie naszej dzielnej armji zaczynałoby się od warcholstwa. Ale i od niekarności. Władze wojskowe powinny dygnitarza pouczyć o jego obowiązkach, a gdyby się do przepisów nie zastosował, poradzić mu, żeby się wyprowadził z placu Saskiego tak, jak opuścił Belweder, skoro na jego „niezwykłą“ indywidualność warunki są za ciasne. Trwoga władz przełożonych przed podwładnym byłaby w cywilnej administracji niepokojącą, a w wojsku jest naprawdę niebezpieczną.

Swoją drogą ten szef sztabu, ubrany cudacznie coś niby reminiscencja wiedeńskiej operetki z Czarnogórza, może działać uzdrawiająco na wojsko. Wygląda bowiem jak dziwna, sztuczna narośl na armji i dobrze jest, że wojsko to widzi, że tej obcości niejako dotyka. Może przecież niezadługo otrząśnie się z tych tutejszo-krajowych, rosyjsko-lewicowych prądów, pod którymi przyszło mu wzrastać. Jeżeli to odgrodzenie się ubraniem od całego wojska przyniesie ten skutek, to Polska, likwidująca lubelsko-kieleckie szaleństwa, przekona się, że ma szczęście. Niemniej stwierdzić trzeba, że przełożone władze wojskowe nie spełniają tego swego obowiązku.

Nie spełniają go także i w ceremoniale. Polska jest jedynym na świecie krajem, (może majordomowie za Merowingów bawili się w coś podobnego) w którym szef sztabu używa monarszego ceremoniału. Jeździ więc dworskim pociągiem. Na wzór carów każe zamykać i opróżniać dworce, na które zajeżdża i przez to tamuje ruch podróżnych i pociągów Ma też osobną żandarmerję, która pilnuje jego osoby tak, jak pilnowano tylko carów i Abdul-Hamida.

I znowu jest tu wyłom w przepisach. Skoro Prezydent Rzeczypospolitej obywa się bez tej ochrany, skoro prezes Rady Ministrów chodzi i jeździ jak zwykły śmiertelnik, ceremoniał carski, zatrzymany dla szefa sztabu, nadaje się do wiedeńskiej raczej operetki.

Powiadają, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo, więc go trzeba strzedz. Stoi to w otwartej sprzeczności z oświadczeniem samego p. Piłsudskiego, że ma takie szczęście, iż go kule omijają. Kto ma taką asekurację, nie powinien tkwić za wielokrotnym murem żandarmów, ani jeździć ukryty między mnóstwem oficerów na kilku automobilach.

Inni tłumaczą, rzekomo wedle jego własnych słów, że takie zabezpieczenie robi się tylko w interesie Polski. Gdyby bowiem jakiś złoczyńca targnął się nań choć „sztink bombą", Polska rozpadłaby się wskutek wojny domowej. Jest to przecenianie osoby. Dotychczasowe zdarzenia, przebieg zamachu ze stycznia 1919 wykazują dowodnie, jak na to życie nikt nie czyha. Chce się unieszkodliwić czynnik nieobliczalny i wychodzi się z zasady:

„Ktoby się tam i łakomił!
Na Waszmości cenne życie!"

Ale p. Piłsudski na stanowisku szefa sztabu nie próżnuje. Ponieważ nie rozumie się na wojsku, zaniedbał zupełnie: obmyślanie obrony, przygotowanie mobilizacji wojska i społeczeństwa, obmyślanie zaopatrzenia armji we własną i wystarczającą broń, amunicję, lotnictwo, gazy, tren i td. To wszystko dla niego nie istnieje. Za to jednak odbywa się ciągłe usuwanie oficerów fachowych i zastępowanie ich przez dyletantów, których jedyną kwalifikacją jest wierność dla osoby szefa sztabu. Dzieją się przytem rzeczy zdumiewające.

Oficer oddziału historycznego pisze dzieło o bojach polskich (czytaj: bojach p. Piłsudskiego). Jako fachowy historyk pisze wiele prawdy. Żądają od niego, aby się „poświęcił" i prawdę sfałszował. Historyk nie może się na to zgodzić. Zaczem usuwa się go z oddziału, w którym był fachowcem, i daje mu się dowództwo brygady czy coś podobnego. Historyk ma być wodzem, a człowiek z domowem wykształceniem zostanie historykiem. Tak i w Rosji jenerał godził się na rozkaz wyższy pełnić obowiązki akuszera.

Ale w ten sposób nie organizuje się armji. P. Piłsudski na stanowisku szefa sztabu jest równie szkodliwy, jak był na stanowisku Naczelnika Państwa. Dla ratowania Rzeczypospolitej trzeba jak najrychlej zlikwidować ten dyletantyzm ole-

androwy! Inaczej życie naszych synów dostanie się w ręce laików nieodpowiedzialnych.

Niedawne zdarzenie musi obudzić czujność społeczeństwa. Na pogrzebie bohaterów z pod Rokitny Prezydent Rzeczypospolitej dał się zastąpić przez adjutanta. Przyszło do małego skandalu, bo p. Piłsudski chciał koniecznie złożyć na ich grobie swój wieniec pierwszy przed wieńcem Prezydenta Rzeczypospolitej. Adjutant jednak nie ustąpił i w imieniu głowy państwa złożył pierwszy wieniec.

Odtąd p. Piłsudski powziął rankor ku Prezydentowi. Ponieważ jest spiskowcem, należy się obawiać, że zacznie spiskować przeciw głowie pańswa. Trzeba się mieć na baczności. Jest to człowiek niebezpieczny. Niemcy określili go jako Nachtvogel, drapieżny ptak nocny. Lepiej zawczasu przestrzedz czujność publiczną, aby potem nie żałować. Wprawdzie J. Piłsudski po tym despekcie oświadczył gotowość wyjazdu na koszt państwa do Egiptu. Widocznie ciągnęła go tam kompanja towarzystwa d-ra Bobrowskiego, który na koszt Krakowskiej Kasy Chorych podobno również wybiera się do Egiptu. Ale mucha, która przy grobie Faraona ugryzła lorda Cornarvon, musiała go już zreflektować, naturalnie tylko „dla dobra Polski".

Dlatego baczność Polacy'

Jan Zamorski.

PIERWSZY ZJAZD CHEMIKÓW I FIZYKÓW POLSKICH.

Od 3 do 6 kwietnia odbywała się w Warszawie wielka uroczystość: Pierwszy Zjazd uczonych polskich z dziedziny chemji i fizyki. Zjechało do 800 przedstawicieli ze wszystkich dzielnic polskich i wygłoszono do 100 referatów. Byli tam uczniowe chyba ze wszystkich szkół na kuli ziemskiej, albowiem za czasów ucisku i niewoli polacy uczyli się wszędzie, a teraz dążyli do Warszawy, jak pszczoły do ula, jak mrówki do mrowiska. Każdy z nich starał się złożyć na ołtarzu nauki ojczystej ofiarę mniejszą lub większą zależnie od swoich sił i zdolności...

Zjazd rozpoczął się wstępem 3 kwietnia wieczorem w Ratuszu. W Politechnice złożono zjazdowi pozdrowienia i życzenia owocnej pracy od szeregu związków i towarzystw naukowych, społecznych i przemysłowych.

Jednak tu nie było tego, co powinno było być: nie było manifestacji na cześć nauki polskiej, na jaką nasi uczeni za-

---

*) 19 Marca w dniu imienin J. P. złożyli na Bursę przy ul. Panieńskiej następujący rodacy:

Niwrung, Szacka, Złotogorska, Dr. J. Baruch, A. Gorsetow, Dr. Fryszberg, dr. Karlsztad, Dr. Simonsohn, Rajnelowa, Zand, Gurcmann, Borensteju, Feilchenfeld, dr. Mamrot, dr. Zamenhof, Dr. Weisblat, Dr. Hirsch, Dr. Bornstein, Dr. Krantz, Dr Schwarc, Dr. Knappe, Lange, prof. Bujwid i t. p. bardzo pokaźny kapitał. (Przyp. Red).

służyli. Uważam, że zjazd nowych chemików i fizyków należało uczynić świętem narodowem, tem bardziej że to był zjazd pierwszy jak Polska jest Polską. Mam wrażenie, że znaczenia tego zjazdu nie doceniły najwyższe władze nasze oraz prasa, która ograniczyła się tylko do wzmianek. To też słusznie jeden z uczonych powiedział w swej mowie:

„Społeczeństwo nas nie rozumie, nie żyje z nami i nie współczuje nam: my jesteśmy jak na wyspie bezludnej"... Przewodniczący zaś zjazdu, dziękując za powitanie, powiedział:

„Chciałbym podziękować i Ministerstwu Spraw Wojskowych, lecz niestety nie widzę tu przedstawiciela".

Słowem nasze władze i większość prasy nie zrozumiały zadania zjazdu, który ma znaczenie nie tylko historyczne, lecz wprost decydujące dla naszego przemysłu, a co za tem idzie dla dobrobytu i bogactwa narodu i potęgi państwa....

Zapasy narodów w ostatniej wojnie światowej wysunęły na pierwszy plan chemję, która daje i materjały wybuchowe i gazy trujące. W tej wojnie walczyli nie tylko strategowie Joffre i Foch ze strategami Hindenburgiem i Ludendorffem, ale również chemik francuski z chemikiem niemieckim. Chemik francuski zdał wyśmienicie egzamin, bo też pracowitość i poświęcenie się chemika francuskiego nie zna równego sobie w dziejach świata od wieków: jeszcze w 1794 r. Lavoisier, skazany na śmierć przez Bronstejna francuskiego, błagał o jedną tylko łaskę, aby mu przedłużono życie choć o parę dni, by mógł zakończyć pracę, która może wzbogacić Francję nadroższą... I nasi chemicy zjechali do Warszawy, aby radzić, jak dźwignąć przemysł, by kraj wzbogacić i państwo uczynić potężnem.

Zjazd doskonale zdawał sobie sprawę, że przemysł chemiczny stanowczą rolę odgrywa pod względem obrony państwa, a szczególnie w stosunku do gazów trujących, tej nowej najstraszniejszej broni współczesnej: państwo, które nie ma i nie stworzy swego rodzimego przemysłu chemicznego, nie wytrzyma próby ogniowej w przyszłych orężnych zapasach narodów. To też zagadnienie przemysłu chemicznego a obrona państwa były wiele razy poruszano w debatach zjazdu.

Należy bowiem z całym naciskiem podkreślić, że wojnę chemiczną prowadzić może tylko to państwo, które ma u siebie rozwinięty przemysł chemiczny, a pod tym względem Niemcy górowały przed wojną i teraz górują nie zważając na poniesioną klęskę.

Niemiecka wytwórczość najrozmaitszych związków chemicznych przewyższała wielokrotnie wytwórczość innych narodów. Jako przykład może służyć fakt, że w 1913 r. niemcy wytworzyły 83% ogólnej ilości produkowanych na całym świecie barwników!

Zjazd zakończono szeregiem uchwał, z których najważniejsze tu przytoczę, a które według mego zdania ostrym ćwie-

kiem powinne być wyryte w mózgach każdego obywatela polskiego:

1. Pierwszy zjazd chemików polskich, zastanowiwszy się nad obecnem położeniem zakładów i pracowni chemicznych w Polsce, poczuwa się do obowiązku ostrzedz Rząd i społeczeństwo przed niebezpieczeństwem całkowitego zaniku samodzielnych badań naukowych oraz niemożności kształcenia młodzieży w zawodzie chemicznym. Zapobiedz temu może zbudowanie z najbliższym czasie instytutów chemicznych w Warszawie i Poznaniu oraz wydatne zasilenie istniejących chemicznych i technologicznych, którym dziś grozi z powodu braku środków zupełna katastrofa.

2) Zjazd podkreśla konieczność zorganizowania oddzielnej sekcji chemji przemysłowej, oraz oddzielnej sekcji pedagogicznej przy Polskiem Towarzystwie Chemicznem.

3) W sprawie reprezentowania interesów nauki i techniki polskiej w unji międzynarodowej chemji czystej i stosowanej oraz na kongresach międzynarodowych chemicznych, zjazd uznaje za konieczne zalegalizowanie Statutu Polskiej Rady Narodowej chemji czystej i stosowanej.

4. Ze względu na doniosłe znaczenie ochrony wynalazców polskich, zjazd uważa za wskazane wzięcie udziału w pracy, podjętej przez Unję Międzynarodową Chemiczną.

Adolf Małyszko.

Z ZA KULIS LITERATURY.

(Dokumenty do sprawy poprawy bytu autorów).

Sprawa poprawy warunków bytu pisarza polskiego stanowi jeden z najżywotniejszych postulatów reform społecznych w wolnej Polsce. Udział Państwa w tej doniosłej sprawie staje się również koniecznością. Zarówno złożone wnioski do Sejmu o uchwalenie emerytur dla pracowników pióra, jak i budowa domów mieszkalnych przy subwencji rządowej, wchodzą w zakres elementarnych potrzeb poprawy bytu twórców wartości duchowych kultury narodu.

Rządy zaborcze w Polsce w swych tendencjach — *tępienia* twórczych potęg w narodzie, wynaradawianym systemami przemocy, pozostawiły po sobie w spadku jedną z jaskrawych anomalji społecznych — brak zabezpieczenia warunków bytu twórców piśmiennictwa. Ten zaś zaborczy porządek rzeczy odbił się swoiście i na stosunku społeczeństwą do spraw literatury. Szeroki ogół konsumentów produkcji pisarskiej jako czytelnicy książek jedynie ustosunkowywał się do spraw literatury, z całkowitem pomijaniem warunków bytu ich twórcy, pisarza. Dług, zaciągany względem autora czytelnik spłacał szablonowo w nabywaniu książek, ani dbając o to czy pośrednictwo nakładcy zabezpiecza byt materjalny pisarzowi. W tych warunkach instytucje zawodowe pomocy poza paljatywami niedostatecznych zapomóg, zapewniały mu conajwyżej opłatę łoża szpitalnego, no i pogrzebu trzeciej klasy...

Toteż świat nasz pisarski pod względem potrzeb zabezpieczenia swego bytu stał na ostatnim planie w stosunku do innych zawodów. Projekty kasy chorych, funduszu kuracyjnego, fundacji schronisk dla przepracowanych i ozdrowieńców, zamierzenia na dom własny, jako instytucji ochronnej, nie wchodziły w życie, dla braku środków potemu z jednej strony, z drugiej niewątpliwie i z przyczyn niedostatecznej akcji samopocy samego świata piszących w dążeniach do zmiany rzeczy własnymi siłami, przy odpowiednich systemach organizacji.

Czytelnikom Wolnej Polski, przed której Sejm ma wejść niebawem sprawa emerytury jako funduszu zasługi pisarskiej dla twórców naszej literatury, ile że te rzeczy w opinji szerszego ogółu idą u nas jeszcze dawnym trybem, odsłaniamy tu jedną z kart — *zza kulis literatury*, bezpośrednio przed wielką wojną już w pierwszych jej latach, jako *dokument rzeczowy*.

W gronie ludzi, świadomych ciężkich anomalji bytu pisarza polskiego, przy Tow. literatów i dziennikarzy, w porozumieniu z Zarządem utworzyliśmy Sekcję do potrzeb ekonomicznych, jako pomocniczą.

Było to wiosną 1914 roku: w powietrzu czuć już było ciężar nadciągającej burzy, co na naszych rynkach wydawniczych odbijało się w pierwszym rzędzie, nader symptomatycznie — groźnym w następstwa zastojem.

Ludzie byli przepracowani, nerwowo przemęczeni, jakaś „stacja wypoczynkowa" nasuwała się już niemal jako warunek możliwości dalszej pracy.

Postanawiamy ufundować narazie letnisko jako zaczątek akcji schroniskowej.

Ku osiągnięciu środków na ten cel organizujemy cykl odczytów historycznych, z pomyślnym wynikiem kilku tysięcy rb. netto.

Na tej podstawie finansowej Sekcja nasza wynajmuje 7-io pokojowy domek pod Jabłonną na folwarku Gudwisinie, na dogodnych warunkach. Mamy zapewnione produkty wiejskie od miejscowego dzierżawcy, meblujemy tę siedzibę środkami osobistymi przy dogodnych sposobach komunikacji kołowej z Warszawą.

Pod koniec czerwca letnisko nasze już gotowe. Przyjmujemy zapisy kandydatów do tej „wypoczywalni" na terminy pobytu kolejno, do jesieni.

Cisza, spokój, zdala od gwaru letnisk podmiejskich „na wsi prawdziwej", dworek tuż pod lasem sosnowym, stanowią wymarzoną stację wypoczynkową po pracy umysłowej.

W Gudwisinie zatem już nietylko, książki, ta nieodzowna lektura szczęśliwców letniskowych, ale i ich autorowie osobiście stają w postawie tych „szczęśliwców", którzy na pięknem łonie natury znajdują swoje miejsce.

Taki cichy, spokojny, z ulubioną książką w dłoni wypoczynek wiejski wśród lasów i pól, iłaż to polskim autorom

nawet poczytnych książek, bywał „snem o szczęściu" jedynie, przy warunkach twardego bytu zarobkowego. Dusili się oni w rozpalonych murach miasta, bez środków na wywczasy letnie. Autorowie prawdziwie „Królewskich pieśni" losowi temu podlegali...

Sierpniowe wypowiedzenie wojny likwiduje nagle naszą stację wypoczynkową w Gudwisinie.

Pierwszy rok wojny zaznacza się w pracach naszej Sekcji potrzebą zapobiegania kryzysom zarobkowania piórem. Ogłaszamy ankietę w tej materji. Z kilkudziesięciu rychłych odpowiedzi wychodzi na jaw: brak pracy i brak możności opłacania mieszkań wobec tego, ujawniają się następnie i braki w odzieży niezbędnej przy budżecie źle zarobkujących.

Z rozdawnictwa Komitetu Obywatelskiego pozyskujemy palta ciepłe, bieliznę, obuwie, obok zbiórki tych rzeczy prywatnie.

Wskazaną zostaje organizacja tanich mieszkań, oraz źródeł dostarczania pracy. Sekcja nasza wytęża w tym kierunku siły.

Przy współudziale Sekcji Tanich Mieszkań Komitetu Obywatelskiego udaje nam się pozyskać 5 io pokojowy lokal na mieszkanie — dla poszkodowanych kryzysami zarobkowania podczas wojny literatów.

Przy obywatelskim współudziale grona pań Kom. Obyw. lokal ten przy ulicy Koszykowej pierwiastkowo, ogrzany, urządzony, o pokojach odzielnych. albo paroosobowych, staje się pożądaną siedzibą, o 5 rublowej stopie opłaty za pokój, dla kilkunastu pracowników pióra, poszukujących innych źródeł zarobkowania w tem wybiciu nagłem ze zwykłej kolei swojej pracy.

Jednego z pierwszych mieliśmy tu pisarza dużego talentu, uznanego wysoko za niepospolitą wartość swego piórą, twórcę prawdziwie „z Bożej łaski", ale jednocześnie jednostkę notorycznie niezdolną do torowania sobie drogi życia — „łokciami" współzawodnictwa o zdobycze dóbr materjalnych.

Mieszkał więc naówczas rozpaczliwie, w norze jakiejś mansardy, nieledwie „kątem", przy wrzasku dzieci i t. p. niemożliwości egzystencji człowieka pracy umysłowej twórczej. Toteż otrzymany tu piękny oświetlony dobrze, opalony i urządzony wygodnie pokój do pracy był mu spełnieniem nigdy nawet nie piastowanych marzeń...

Organizacja drugiej siedziby dla literatów przy lokalu obszernym mieszkań tanich dla inteligencji przy ul. Bagatela dała też kilku wybitnym nawet pracownikom pióra cichy, spokojny wytworny nawet w urządzenie wielu dogodności mieszkaniowych, aż do miejscowej czytelni, dach nad głową w warunkach znakomicie sprzyjających pracy umysłowej, bowiem bez troski o elementarne potrzeby bytu codziennego. System kurytarzowy, komfort i czystość wzorowa w urządzeniu, a widoki rozległe z okien i dobre już zamiejskie powietrze czyniły z tej siedziby wymarzone tusculum dla literackiego

pracownika, gdzie według słów jednego z nich, znanego poety, „pracowało się jak w raju".

Jakże dalekośmy dziś odbiegli od tych idylli mieszkaniowych, wzorowego typu, w naszej obecnej doli.., sublokatorów skazanych na znoszenie męczarni domowego piekła z ręki wyzyskiwaczy spekulujących bezkarnie na klęskach bezdomności.

Toteż świat literatów w pierwszym rzędzie powołany jest do fundowania sobie siedzib mieszkaniowych własnych, przy subwencjach po temu odpowiednich, w bycie państwowym, wolnej Polski.

Wracając do dokonań naszej sekcji w kierunku wyszukiwania nowych źródeł pracy zarobkowej przy stagnacji wojennej na rynku literackim, osiągnęliśmy wyniki następujące:

Kilkunastu piszącym udało się nam pozyskać pracę zarobkową przy Bibljotebe Głównej Uniw. Warsz. kilku czasowo w Minist. Sztuki i Kultury, wreszcie przy układaniu katalogu kartkowego z pism perjodycznych, oraz przy bibljotece T-wa. Zajęcia czasowe, opłacane z funduszu dyspozycyjnego Komitetu obywatelskiego, czasu lat pierwszych wojny.

Z poczynań, planowanych przez sekcję naszą zamierzeń, w tej kartce.„ Zza kulis literatury" pominąć nie możemy, jako dokumentów do danej chwili dziejowej, projektów — „*lombardowania prac*", zalegających w biurkach autorów, przy stagnacji wydawniczej, co rozbiło się jedynie o brak funduszu po temu, planów agencji prasowej, oraz wchodzenia w układy z istniejącemi wydawnictwami książek popularnych— o pracę dla bezrobociem dotkniętych autorów. Obok tego zamieszczenia reform wydawniczego rynku, przy uczestnictwie materjalnem pisarzy i opodatkowywaniu książek procentem na rzecz wydawnictw, dzieł mało popłatnych handlowo. Obecny stan tych rzeczy jest fatalny. Znam pisarza, o pracy 30 letniej, który napisawszy dwa cenne dzieła ostatnio, dla niemożliwości wydania drukiem przymiera głodem, zarobkując z zawodnych lekcji prywatnych z dnia na dzień.

Trwający przeto podziś dzień ciężki kryzys zarobkowania piórem poza publicystyką i w części powieściopisarstwem, domaga się już wielkim głosem szerokiej akcji zapobiegawczej od kryzysów upadku — *już powstrzymanej w rozwoju naszej literatury*. Może byłby wskazanym na kryzysy przejściowe i jakiś system „lombardowania prac" gotowych do druku, dający pewien równoważnik materjalny autorom, zaś obok tegoż akcja społeczno - państwowa — wydawanie tych prac, o istotnej wartości literackiej.

Ruch ratunkowy w tym kierunku jest już nieodzownością.

M. Cz. Przewóska.

LISY EWANGELICZNE.

Pewien mały masonik, któremu się zdaje, że nikt o jego cichem masoństwie nie wie, bo je w religijnej ukrył robocie narzekał bardzo przedemną na pisma i dzienniki narodowe

że pisma te nie mają w sobie... miłości chrześcijańskiej. Kręcił się przytem na pięcie, uśmiechał się zezem i mizdrzył się jak piętnastoletnia mniszka, — ten pięćdziesięcioletni blondynek, któremuby już czas poważniej spojrzeć na życie.

Łgał, czy nie łgał, zawrzeć łgarstwo ze wszystkich jego słodkich słówek cuchnęło. Ciekawe, że żaden z tych panów apostołów nie wybierze się do „Robotnika", „Kurjera Polskiego", „Porannego", lub innej żydowszczyzny, ale zawsze z kazaniem swem oliwnem do narodowego trafi obozu. Słuchamy tych kazań cierpliwie i pobłażliwie, wkońcu jednak trzeba i tym farbowanym lisom parę słów prawdy powiedzieć. Wiara ich w naiwność powinna też mieć pewne granice.

Kto nie zna posłannictwa tych miłych ewangelistów, kto nie wie z czyjego rozkazu przychodzą!? Pełne kołczany mają strzał miłości chrześcijańskiej, ckliwą zaprawnych trucizną. A poza plecami wielkich swoich mistrzów, których czas minął, Belzebubowi służą — te, jerychońskiej armji krasnoludki. Jeszcze Polacy zamocno przed komunizmem Syjonu się bronią, więc nam tu tacy ewangielję opowiadają...

Czosnkiem i cebulą zdaleka czuć ich miłość chrześcijańską. Polak, jak wyżeł, ze wszystkich zmysłów ma węch najczulszy, a już szara rybka żydowska o trzy kilometry jego nozdrza rozdrażni. Zresztą sami oni wiedzą, że łżą—te ciche Jakóbki. Niechże się dowiedzą, że i my wiemy, że oni wiedzą. Kończy się średniowieczny sen o miłości baraniej. Zapóźnoście się z ewangielją swoją wybrali!

My o miłości nie mówimy. Ale to też, albo ona jest, a wtedy milczy o sobie, na piersiach pancerz ma rycerski, a w ręku stal, albo jej niema, a wtedy cień jej różne przymiotniki przybiera, dużo o sobie szepleni, łzawi się i we własnej nikczemności się pławi. Obłudę tę zimnokrwistą umiejętnie mafja masońsko-żydowska wyzyskuje, aby innych miłością pętać, gdy sama sobie monopol i przywilej nienawiści od wieków zachowuje.

Taki to przedziwny podział pracy żydki talmudyczne znalazły, że oni nas prawnie i religijnie nienawidzą, a my prawnie i religijnie kochać ich mamy. A że jeszcze za mało jeszcze kochamy, więc włóczą się tu lisy ewangieliczne z puszystemi westchnień miłosnych ogonami. Na szczęście każde słówko lisa ewangelicznego cuchnie Wasserzugiem i zdaleka już o sobie ostrzega. Tak—tego zapachu żadną sztuką moralnie-kosmetyczną pozbyć się nie zdołają — ciche, ostrożne, poczwórnie abstynentne Kubusie. *St. Pieńkowski.*

DWA EHRENBERGI.

(„Dziennik Powszechny" warszawski pod red. W. Noskowskiego r. 1920 z poniedziałku 19 lipca; artykuł „Poznań czuwa").

„Wezwanie jenerała Hallera do tworzenia armji ochotniczej, wskazało nagle najważniejszy wysiłek, jakiego domaga się powaga chwili. Poznańczyk przyjął apel generała po mę-

sku. Padł rozkaz — więc stanął do szeregu. Przez całą Wielkopolskę przeleciał rozkaz: czuwaj! Niebezpieczeństwo zagraża nie tylko od wschodu, lecz od zachodu. Niemcy czychają na zgubę.

Jakby dla stwierdzenia prawdy tego ostrzeżenia Niemcy poznawszy likwidują cztery dotychczasowe organizacje polityczne i tworzą jednolitą „partję niemiecką", łączącą wszystkich nietylko byłego pruskiego zaboru, ale wogóle Polski. **Zjednoczonych wita radością dyrektor sądu Ehrenberg, znany i zasłużony pogromca Polaków**, a plan działania rozwija przed wiernymi słuchaczami p. Peeck, naczelny redaktor „Tageblattu", niezmordowany szermierz hakatyzmu".

*

(„Kurjer Poranny" z 20 marca 1923 artykuł K. Ehrenberga: „Nowe próby wzburzenia proletarjatu przeciw Polsce").

„Ratyfikacja granic Traktatu Ryskiego podpisanego przez Rosję w marcu nietylko nie obraża interesów rosyjskich, ale przeciwnie, jak to stwierdza nawet Stiekłow, może być dla nich korzystnym. Kwestja wileńska i wschodnio-galicyjska w marcu, tych interesów nie dotyczą, ani nie obchodzą: sowieccy politycy zbyt dobrze znają istotny stan rzeczy, *aby musieli nie mieć wątpliwości, że Wilno i Lwów należą do Polski równie silnie, jak Warszawa i Kraków* i że tylko chęć zniszczenia traktatu ryskiego i nowej katastrofy wojennej mogłaby skłaniać tylko kogokolwiek do poruszenia tych spraw w chwili, gdy już nawet według prawa międzynarodowego stanowią tylko przedmioty polskiej polityki wewnętrznej"

*

Tyle Ehrenberg warszawski. Tylko „Wilno i Lwów należą do Polski równie silnie jak Warszawa i Kraków".

Poznań nie, Bydgoszaz, Grudziądz, Katowice nie.

Te Ehrenberg warszawski gotów lekkiem sercem oddać Ehrenbergowi poznańskiemu.

KSIĄŻĘ JANUSZ.

Radziwiłłowie podczas wojny europejskiej skompromitowali się doszczętnie. Jedni służyli na dwóch łapkach Hohenzollernom, inni Holstejn-Gottorpom. Do najbardziej skompromitowanych należy książę Janusz. Nie kwestjonujemy jego urody, patrjotyzmu, dobrej woli, ofiarności, ale kwestjonujemy jego poczucie rzeczywistości. Niefortunny minister z czasów wielkorządcy Beselera, klubowy dyletant i amator, obecnie w braku dynastji pod rękę wysługuje się najpotężniejszej dziś dynastji, tj. żydowstwu. Nazwisko Radziwiłłów w Europie łączą już wszędzie z żydowstwem dzięki księciu Leonowi ożenionemu z panną Blanc de Rouge et Noire i dzięki znanej wszechświatowej wy-

ranżerowanej awanturnicy księżnej Katty Radziwiłłowej, „publicystce” broniącej wszędzie interesów żydowskich, znanej ze skandalicznego procesu z Cecil Rhodesem.

Książe Janusz, katolik di primo cortello, zamiast po skompromitowaniu politycznem w r. 1917 i 1918 zaszyć się gdzieś w kącie w swoich pałacach i nie drażnić swem nazwiskiem opinji demokratycznej, raz po razu wysuwa się gdzieś i stara się wypłynąć, wsparty na żydach, metekach i mechesach. Rozkochany w genjuszu Ignacego Loyoli Rosnera, zapatrzony w pewien odłam Torysów angielskich poprawiających swe fortuny marjażami z żydowicami i wzamian za to wysługujący się Mondom, Sassonom, Isaacsom, książę Janusz apostołuje żydolubstwo w Klubie Myśliwskim, rozwozi po Polsce „wskazania” krakauerskiego „Czasu” i zbiera fundusze na keren hajesod „Kurjera Polskiego.“

Lepiejby było, aby książę Janusz poniechał polityki i zajął się np. protegowaniem nauk, sztuk, sportu i tp. To jest piękna rola i wdzięczne zadanie dla tej części naszej arystokracji, która pod wpływem krakauerskiej trucizny skompromitowała się najskrajniejszym germanofilstwem czy dworskim rusofilizmem i swą „postawą”, i służalstwem dała taką broń i argumentację żywiołom przewrotowym. Na wysługiwaniu się Askenazemu, Rosnerowi i t. p. książę Janusz nie wypłynie i ani ambasady, ani portfelu się nie doczeka.

Tempora mutantur. Vox populi nie jest już vox Judaei. Książę Janusz nadal nie ma poczucia rzeczywistości. Jak wbrew jego przepowiedniom, zaklęciom, zakładom nie zwyciężyli Hohenzollerni tak i dziś ma się już ku końcowi Anonimowemu Mocarstwu.

Piękny zatem czyn spełnił książę Janusz, ofiarując trzy miljony na salę imienia zamordowanego księdza Budkiewicza w uniwersytecie Lubelskim, ale zgoła nietaktownie, bez sensu, prowokująco składając tę chojną ofiarę za pośrednictwem żydowskiego pisma „Kurjer Polski“, tylko dlatego że p. Ignacy Rosner też się tempore belli służalstwem względem Niemców i Austrjaków zeszkaradził. Bałamucący się politycznie Radziwiłł miał do dyspozycji jeszcze „Kurjer Warszawski“ czy nawet krakowski „Czas“, jeżeli już antypatja do Endecji, tępiącej wszelką zdradę narodową nie daje mu spać, odbiera apetyt i nie pozwala solidaryzować się w żadnym wypadku z obozem integralnie katolickim-narodowym.

W każdym razie przy nadchodzącej reformie agrarnej należy przedewszystkiem zwrócić uwagę na latifundja Radziwiłłów. Maciej, Franciszek, Janusz szpetnie wysługiwali się okupantom zewnętrznym, teraz zaś książę Janusz podtrzymuje stare tradycje Bogusława, wysługując się okupantom wewnętrznym, t. j. żydostwu. (*a. n.*).

PROFETA GRÜNBAUM

(Białostockie Najes Leben nr. 276 ze Stycznia 1922.)

(Sprawozdanie z konferencji politycznej posła Grünbauma.)

„Przechodząc do naszego położenia w Polsce, uzasadnił

nasze nadzieje w taki sposób, że powiększona Polska *będzie państwem narodowościowem.*

W Sejmie znajdować się będzie może do 40 proc. przedstawicieli różnych mniejszości, którzy będą mogli być naszymi sprzymierzeńcami, wywalczając prawa mniejszości. Zobrazował przytem dokładnie różne kombinacje polityczne i starał się dowieść, że nawet gdy szowiniści polscy będą rządzili za pomocą zasady „divide et impera", czyli robienia ustępstw innym, silniejszym mniejszościom, aby móc zdusić nas słabych *to też im się nie uda*, ponieważ śród części tych mniejszości żądania idą bardzo daleko, aż do separatyzmu, i te mniejszości przeto będą musiały pozostawać w opozycji".

MINISTER REKLAMY A STARUSZKA ZE SZPITALA DZIECIĄTKA JEZUS.

Mistrz reklamy a minister zdrowia dr. Chodźko w wolnych chwilach od wywiadów, podróży, bankietów i samochwalstwa powinien się czasem zająć cokolwiek i szpitalnictwem. Wtedy dowiedziałby się np. takich rzeczy:

Konkurs lekarzy na ordynatora w szpitalu żydowskim w Warszawie odbył się w tymże szpitalu w dniu 22 i 23 lutego (teoretyczny) i w dn. 26/II (praktyczny) w spitalu Dzieciątka Jezus (Przerwa 24 i 25/II była z powodu soboty — szabas i niedzieli).

Do konkursu stanęło 8 lekarzy żydów (z tych dwóch podchrzczonych). Konkurs praktyczny polega na dokonaniu operacji na trupie. Gmina żydowska wzbrania dokonywać operacji na trupach żydowskich, szczególniej lekarzom żydom, stąd postarano stę o to, *by operacje odbyły się na trupach chrześcjańskich*, motywując oficjalnie, że w szpitalu żydowskim brak odpowiednich instrumentów i nie było tego dnia trupów, a raczej nie miało być bo zarządzenie o konkursie praktycznem w Szpitalu Dzieciątka Jezus było wydane już uprzednio.

Podobno jednak 26 lutego było w szpitalu 5 czy 6 trupów, podczas gdy w szpitalu Dziec. Jezus tak się złożyło, że rzeczywiście nikt nie umarł ani w sobotę, ani w niedzielę (sprawdzone).

26-go rano także nie było trupa, dopiero koło 10-tej godziny zmarła w pawilonie 8 C kobieta 56 lat, która zabraną została do grabarni przed 12-tą i stąd zaraz przeniesiona do sali sekcyjnej anatomji patologicznej, gdzie zaraz dokonano szeregu operacji na tym nieostygłym jeszcze trupie.

Tymczasem przepisy obowiązujące mówią:

§ 13 94 Rozdział I Księga III Postanowień ogólnych prawodawstwa rosyjskiego jeszcze, u nas dotąd obowiązującego:

„Do Sekcji martwego ciała nie wolno przystępować w żadnym razie przed upływem 24 godzin po śmierci" (za wyjątkiem kobiet ciężarnych gdy chodzi o uratowanie dziecka).

Jakim prawem więc żydowscy lekarze dokonywali kilku operacji w danym wypadku?

Czy dr. Chodźko o tem wie czy nie wie?

Czy dr. Chodźko wie o tem, że w tymże szpitalu, któremu (jak zresztą wielu innym za ministerstwa dr. Chodźki) obecnie brak w ogóle środków materjalnych na utrzymanie chorych, urządzono dla tych jegomościów śniadanie kosztem wieluset tysięcy marek?

Możeby tak zajął się nasz wirtuoz reklamy także i takimi sprawami? (*x*)

„HEINRICH FRANK SÖHNE. — SKAWINA-KRAKAU".

Fabryka cykorji tuż pod Krakowem istniejąca ośmiela się na paczkach ze swoimi produktami zamieszczać napisy wyłącznie w dwóch językach tj. w niemieckim i żydowskim!

Nawet za czasów austrjackich nie ośmielono się na coś podobnego. Obok napisów niemieckich na etykietach były polskie ze względu na klientelę galicyjską.

Obecnie licząc na potulną bierność szerokiej ludności i na tolerancję i protekcję krakauerów z Czasu, Reformy, Naprzodu i Nowego Dziennika najspokojniej i najbezczelniej wysyła sobie potężna firma „Franck-Söhne" pudełka z etykietami żydowsko-niemieckimi.

Co na to Kraków, główny konsument cykorji Franka? Czy nie należałoby jakoś przeciwdziałać prowokacjom tych Cykorjanów ze Skawiny. Czy urocza Skawina wogóle należy do Polski? Co zrobiliby z taką firmą Czesi, gdyby ośmieliła się tak pomiatać narodowymi uczuciami ludności?

CO CZYTAĆ?

Zygmunt Bartkiewicz: („Historja jednego podwórza") Warszawa Gebethner i Wolff.

Polskie to arcypolskie, tak polskie jak już dawno nie bywało i arcyludzkie zarazem. Upadek domu Zakrzewskich, zacnego rodu ale nie przystosowanego do nowoczesności, conieco zdegenerowanego, skazanego na zagubę, wycieńczonego, zmeczonego. Ostatni dwaj: Wicek i Lalutek, romantyk a realista. Pierwszy opromieniony aureolą przekornego heroizmu, drugi potraktowany wzgardliwie i z okrucieństwem nie całkiem nawet zasłużonem Ale nie w tem, rzecz, nie w ludziach i nie w Zakrzewskich a raczej w pieskach, antropomorfizowanych pieskach. W malowaniu środowiska, w atmosferze uczuciowej, w cyzelacji szczegółów, najlepszy Dickens; psi świat jakby pogłębiony Dygasiński; w pejzażu japońskie majsterstwo. Nibyto posępne i smutne a czasem wybucha taki humor, że czytając zasmiewasz się na głos. Jedna z najmilszych książek z ostatnich lat, taka do której kart się z lubością wraca i znów wertuje i znów czyta. Polszczyzna jędrna, żylasta, autentyczna a są całe ustępy, które mogą być dla szkół zalecone jako wzory języka nieskazitelnie czystego. rasowe, lechickie. Camera sarmatica. Bartkiewicz jest tradycyonalista, łagodnym, cierpliwym, nie bojującym ale twardym, rogatym, nieustępliwym. Cofnął się z życia, zamknął jak ślimak w skorupie na odludziu, pyka sobie z fajeczki i pisze bez pretensji bez reklamy, ale nie bez kozery to nowelki to dłuższe opowiastki. Ludzi to ta nie bardzo kocha, ale polską faunę i florę to umiłował tak, że gdy się te jego pejzaże i opisy czyta, to się je widzi istotniej niż rzeczywistość. Wielki, wielki majster pióra a jeszcze mało sławny stosun-

kowo, bo w żadnej koteryi nie asekurowany i w przeszłości się grzebie i przeszłość jeno ulubił i szanuje. To też żydóweczka Hanna Grünbaum znana jako Zahorska w „Kaftalu Porannym" (z 12 mar a) ośmiela się napisać, o nim że „skądinąd utalentowany autor"... wywleka „zbutwiałe i smrodne szlacheckie łachmany". Że dla „Hany" te łachmany smrodne to nie dziwota, ale dla nas znowu wprost przeciwnie, wonne Hanny z ich nowaliami nie pachną a właśnie zbutwiałe szlacheckie łachmany są jako relikwie zawsze drogocenne.

Polecamy wszystkim najgoręcej „zbutwiały szlachecki łachman" Bartkiewicza. Można się tu najeść, nabuchać poskością ale nigdy przejeść Wysokiej próby artyzm i kryształnej czystości swojskość.

Ta książka wśród książek dzisiejszych to jakby ktoś rzucił stary pas słucki, lity, złotolity.. postrzępiony między paskarskie batiki i żydowskie batysty... *a. now.*

„Teatr Polski w Warszawie" 1913—1923 Towarzystwo „Ignis"

Książka wydana sumiennie i wykwintnie daje retrospekcję na całe dziesięć lat i wykazuje rezultaty jakie można osiągnąć ukochawszy tak swoją ideę jak ją ukochał młody i energiczny autor bardzo ciekawej a mało znanej satyry antysocjalistycznej p. t. „Pankracy August I". Kilkaset illustracji, tekst wyczerpujący i ciekawy nawet dla laików a cóż dopiero dla miłosników i melomanów teatralnych. Najbardziej przekonywającą jest tablica statystyczna z repertuarem, gdzie wykazano cyfrowo ile to arcydzieł poważnej dramatycznej twórczości przesunęło się przez tę scenę, ile na niej grano Szekspira, Moliera, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, jak w minimalnych dozach szła w publikę trucizna rosyjska czy berlińska (tak umiłowana rządzącej w Warszawie mniejszości) i skandynawsko-germańska i judejska.

Stosunkowo zbyt mało miejsca poświęcono samej genezie Teatru i tym dwom nieboszczykom, którzy najwięcej przyczynili się do położenia fundamentów pod budowę Teatru, szczególnie zaś ś.p. Tomaszowi hr. Potockiemu. Tu pozwolimy sobie przypomnieć jeden szczegół z tych czasów, z roku 1910. T. Potocki, bardzo uspołeczniony arystokrata i działacz próbował sił swoich także w poezji. Napisał dramat historyczno-filozoficzny: „Fausta Polskiego", białym wierszem. Ponieważ dramat napisany był w stylu archaicznym, autor jego zaproponował niżej podpisanemu korrekturę tekstu i takie zmiany, któreby umożliwiły wystawienie dramatu niescenicznego na deskach „świat" figurujących. Że osób w dramacie było bardzo wiele, więc wystawienie w „Rozmaitościach" byłoby niemożliwe; tylko scena obrotowa mogła podołać tylu zmianom dekoracyjnym. Wtedy to zwrócił niżej podpisany uwagę Tom. Potockiego na konieczność budowy w Warszawie nowego prywatnego Teatru i na pewnego młodego człowieka zapalonego do tej idei, przytem talent organizacyjny t. j. dr. A. Szyfmana. Poznawszy dzisiejszego jubilata hr. Potocki oddał się sprawie Teatru prywatnego całą duszą, i sercem zawsze także w nadziei, że jego „Faust Polski" utwór choć nieco dyletancki ale nie pozbawiony scen pięknych i wzniosłych idei ucieleśni się kiedyś w kształcie scenicznym. Tomasz Potocki wszystkie swe siły, cały zapał, energję poświęcił odtąd idei teatru prywatnego, niestrudzenie pomagając dzisiejszemu dyrektorowi. Niestety śmierć przedwczesna na dwa miesiące przed inauguracją nie pozwoliła mu widzieć nawet otwarcia tego instytutu piękna, do którego podwalin tyle jakby omal wprost cegieł naznosił.... W Teatrze Polskim grano potem faustyczne, poematy dramatyczne Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego...

Czy nie należałoby w jakiejś formie ze względu na uczczenie pamięci współzałożyciela Teatru Polskiego zapoznać ogół z jego utworem, może nieudałym ale dzięki któremu pośrednio bądź co bądź mógł za ciężkich czasów rosyjskich stanąć ten przybytek Sztuki dramatycznej, w tym roku dziesięciolecie swoich rzetelnych i zasłużonych tryumfów artystystycznych pięknie i chlubnie obchodzący?.

(Ad. Now.)

KARTY W LAS!

Czy „Karty w Tas” czy coś takiego napisał na scenę wysoce utalentowany grafoman Kaden Bandurski czy Bandrowski, autor nieprzeliczonych madrygałów o peowiackich Papkinach i olbrzymich batąljach ongiś we dwadzieścia osób po obu stronach okopów staczanych.

Na warszawskie sceny podobno „takie coś” się nie kwalifikowało; więc wzięto to na warsztat w mieście Łodzi czy Pabianicach. Rozkaz.

Tymczasem Komisarz rzadu, obawiając się konfliktów z publiką, domagającą się ewentualnie zwrotu pieniędzy za bilety, wziął do przeczytania sztuczkę. Zakaz.

Więc zaraz rejwach. Wszystkie literatniki pożenione z żydówkami, czy żydy po kądzieli lub po mieczu (matchu) poczuwając się zaraz do solidarności z autorem (podwójnie pod tym względem obciążonym) wszczęły zaraz larum penatum. Sodalis Rosneri Joel Widz pierwszy, za nim Pierrot. I t. p. Racja przy nich. Poco takim zakazem hałaśliwie reklamować podobne poronione niemowlę kadenowiutenkiej Muzy expresjonistycznej? Tę ptaszynę już się i tak niczem nie uciszy i nie ukoji. Grafoman jest i utalentowany i zażarty, będzie nam na Remingtonie wygrywał po kilka powieści i kilka dramatów rocznie; i na to Święty Boże nie pomoże, skoro nieboże i kunszt reklamy bezceremonialnej przyswoił sobie rzetelnie i we fletnię Marsyasza o sobie jako może ciągle dmie i dmucha. La piece bien faite pour Łódź będzie pewnie ni lepsza ni gorsza od tego Generała Parszcza?

A kto zasię w Polsce tę „powieść” Kademencką był w stanie doczytać do końca? choćby z kompresami na głowie?

Przyznajmy szczerze między sobą, że ten się business hofratowi nie powiódł „Bieg okrężny” z Dziewulskim, dzierżącym puhar w drżących dłoniach, owszem. „Szabes jäger” owszem. Liński owszem. Ale Parszcz zawiódł. Pan Kaden przeciągnął w tej ramołcie strunę nudy do ostateczności. Łasy na laury chciał dać nadobnej literaturze polskiej „Biesów” z jenerałami jako Stawroginami i Wierchowieńskimi i to wszystko poraz pierwszy w stylu echt-ekspresjonistycznym; dał zaś wypożyczalniom książek sensacyjny, wymęczony, wypocony, przerosły i opuchły zakalec, który nawet w małej porcji użyty wywołuje u nieprzygotowanych objawy niestrawności. Zostając pod hypnotycznym wpływem J. Opatoszu i Sz. Alomaszu dał p. Kaden w swym Barszczu pierwszą próbę żargonowej bellerystyki dostępnej Polakom i bez tłómaczenia na polski język, zadebiutował talmudernizmem expresjonistycznym. Mimo licznych „pośladków” w książce, wyrób jest najpośledniejszej sorty. Już w „Łuku” było zadużo Burłuku, w tem zaś jest Hellen Mniszek (tylko na inny manier i z innych środowisk) plus Juhanna Walewska — Wielopolska, tylko z jeszcze dzikszą histerją z jeszcze większym tupetem i snobizmem.

Trzeba więc grać co prędzej te „Narty w las” czy „Karły w pas” czy jak tam. To nie jest talent „niebezpieczny” światoburczy, pyroksylinowy! To sobie szpekulancje na sensancje. Dzieła sztuki, przy których się ziewa, że aż szczęki w zawiasach bolą, nie powinny doznawać żadnych przeszkód w wejściu w vulgum pecus czy profanum vulgus....

(a. n.)

Pren. kwart. **7.200.** Zagranicą kwart. **10.000.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **300.000,** ½ str. **150.000,** ¼ str. **80.000,** ⅛ str. **50.000,** 1/16 str. **25.000 mk.** Konto czek. w P.K.O. Nr.3105

Redaktor i wydawca: STANISŁAW WŁODEK.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Zakłady Drukarskie F. Wyszyński S-ka Warszawa, Zgoda 5.